

kapelusze, słoma, wiązania chemiczne

gdy byliśmy stwarzani, gdy w słonecznej aurze stawaliśmy do biegu, a do ust nam wkładano

sześciiany radości, stwarzano nasze kości ze zderzeń pociągów i zwierząt zabijanych
podstępny kodeksem, czoła nam smarowano roztartym pumeksem i pytano

o drogę do serc rozpoczętych jak galaretki z kiwi, jak wartkie melodie zakurzonych pokojów i
cywilizacji pogubionych w rozstępach, w nagłych zwrotach akcji, w artretyzmie

akwarel i portretach przodków powieszonych nad łóżkiem, aby dodać chuci posmaku
wekowania, aby w swych staraniach nie wypaść z toru ości, nie narażać radości

na przedwczesny orgazm; bo byliśmy stwarzani przez długie okresy posuchy i tętniących
stanowczością zebrań, narad walecznych członków, bitew, pojedynków rozświetlanych

racami i błyskami zębów, bo stwarzano nas w ustach wodzów i kapłanów, w nadrukach na
sukienkach i przekrojach studni; wtedy byliśmy cudni, mieliśmy na sobie

samogłoski języków władczych i nadobne ciała zrobione ze śliny i resztek jedzenia;
dostarczały nam cienia ciała łykowate ojców naszych i matek, żywiących się ligniną

i płynnym cementem; a więc biegliśmy pędem wśród łąk chlorofilu w snach napędzanych
strachem i historią świata stworzonego wieczorem w nielegalnym warsztacie, na nielegalnym

stole, pędziliśmy po kole: kaskaderzy-wieszczce czekający na boga, kiedy wokół deszcze i
chcę się tylko sikać po zwietrzałym piwie; stwarzano nas leniwie, w przerwach

na rozkosze, na przesiewanie piasku, czytanie ogłoszeń: kupię, sprzedam, zamienię, pożyczę,
poproszę.

Miłosz Anabell

w pokoju traum i totemów

[dzień nie bardziej stateczny niż początek świata, (w ustach przebitych śmiechem i śliną złodziei] rozwieszaliśmy ciągle

genotyp westchnienia), w którym krążą (westchnienia) srebrne kule zła, który rysuje dziecko z głową pełną miazgi, głową

pełną cementu, z wtartym w skórę kremem nawilżającej śmierci i tłustego (strachu. wiotkie totemy, samochody z wody, z żył martwych żołnierzy). moment

radosnej śmierci, pokarmu i głodu: moment mętnego smutku, głodu i spętania: dzień - bulgoczące danie, słone i parzące usta

niewolników wzrostu, jedzących witaminy dzieci pcheł i światła, pasażerów połączeń rdzenia i paznokci. dzień mojego stworzenia

oprawiony w ramy [gwasz, na którym góry (zsiadłe oddechy ziemi, korpus] starej pralki) stoi na etażerze - to narząd architekta

tłoczącego światło

do tuneli i powiek, do trójkątów zła (wafli w polewie toffi, garniturów, pchełek

rosnących w gardle: wspomnień o olbrzymie), którego śliskie dłonie wypuszczały dziecko prosto w usta rośliny: życie rośnie

w mózgu, ma brązowe paznokcie i bez przerwy łka.

Miłosz Anabell

ćma i popioły

umarł owad i leży szary wśród radości tapety w krokodyle, wśród morderczej złości, którą wysadzam z siebie brzęczące i tanie

szczęście z ulicznych bójek i zapamiętane z filmów; w nich się kończyły w deszczu rajdy po mózgowiu wesołych reżyserów, asystentów śmierci

wyciętej z papeterii, ulepionej z błota; leży ćma i wydziela mleczko rozdeptana, brzydka i nagle bliska, prawie że na sercu

teraz leżąca, chociaż błoto leży wokół ciała śniadego i tańczą kandelabry jak chochoły nagle wyciągnięte spod paznokci trupa, trupa przegranych wspomnień i kociąt liżących

własną śmierć w popołudnia parne i błyszczące od radości rolników w opalonych ciałach trzymających kredensy serc, serc, pokrojonych w plasterki i suszonych jabłek, zwlekających się z pola

o ósmej trzynaście; ile lepkiej rozpaczysz masz w sobie owadzie zabity przypadkowo i pomszczony chyba tylko przez niewolników, przez nas wszystkich

w lesie umierających myśli lekkiej jak piłeczka żyjąca w ciepłym, wydechu suszarki do włosów? leżysz ćmo pośród kłosów, w popiele litości

opalizującej i gęstej, w budyniu litości; twój ciężar jest ramieniem, ramieniem wieczności.

Miłosz Anabell